Nauka Katolicka.

(POSŁANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na poczcie „Wiarusa Polskiego“.

„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na poczcie wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnoszeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 46. **Bochum, dnia 19 listopada 1898.** **Rok 7.**

Na niedzielę 25-tą po Świątkach.

Lekcya. Kolos. I. 9–14.

Bracia! Nie przestawamy za was się modlić i prosić, abyście byli napełnieni znajomością woli Bożej we wszelakiej mądrości i wyrozumieniu duchownem. Abyście chodzili godnie Bogu we wszem się podobając, w każdym uczynku dobrym owoc przynosząc i rosnąc w znajomości Bożej. Umocnieni wszelaką mocą według możności jasności jego, we wszelakiej cierpliwości i nieskwapliwości z weselem, dziękując Bogu Ojcu, który nas godnymi uczynił działu dziedzictwa świętych, w światłości; który nas wyrwał z mocy ciemności, i przeniósł w królestwo Syna umiłowania swego; w którym mamy odkupienie, przez krew jego odpuszczenie grzechów.

Ewangielia. Mat. XXIV. 15–35.

Onego czasu mówił Jezus uczniom swoim: Gdy ujrzycie brzydkość spustoszenia, która jest opowiedziana przez Daniela Proroka, stojącą na miejscu świętem, kto czyta niech rozumie; tedy którzy są z Żydowskiej ziemi, niech uciekają na góry; a kto na dachu, niechaj nie zstępuje, aby co wziął z domu swego; a kto na roli, niech się nie wraca brać sukni swojej. A biada brzemiennym i karmiącym w one dni. A proście, aby uciekanie wasze nie było w zimie, albo w Szabat. Albowiem naonczas będzie wielki ucisk, jaki nie był od początku świata aż dotąd, ani będzie. A gdyby nie były skrócone one dni, żadne ciało nie byłoby zachowane; ale dla wybranych będą skrócone dni one. Tedy jeśliby wam kto rzekł: Oto tu jest Chrystus, albo indziej; nie wierzcie. Albowiem powstaną fałszywi Chrystusowie i fałszywi prorocy, i czynić będą znaki wielkie i cuda tak, iżby w błąd zawiedzeni byli (jeśli może być) i wybrani. Otom wam opowiedział. Jeśliby tedy wam rzekli: Oto na puszczy jest, nie wychódźcie. Oto w tajemnych gmachach, nie wierzcie. Albowiem jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca, i okazuje się aż na zachodzie, tak będzie i przyjście Syna człowieczego. Gdziebykolwiek było ciało, tam się i orły zgromadzą. A natychmiast po utrapieniu onych dni, słońce się zaćmi, i księżyc nie da światłości swojej; a gwiazdy będą padać z nieba, i mocy niebieskie poruszone będą. A na on czas się ukaże znak Syna człowieczego na niebie; i wtedy będą narzekać wszystkie pokolenia ziemi; i ujrzą Syna człowieczego przychodzącego w obłokach niebieskich, z mocą wielką i majestatem. I pośle Anioły swoje z trąbą i głosem wielkim, i zgromadzą wybrane

jego ze czterech wiatrów, od krajów niebios, aż do krajów ich. A od figowego drzewa uczcie się podobieństwa: Gdy już gałąź jego odmładza się, i liście się wypuszcza, wiecie iż blisko jest lato. Także i wy, gdy ujrzycie to wszystko, wiedzcie, iż blisko jest we drzwiach. Zaprawdę powiadam wam, iż nie przeminie ten naród, ażby się stało to wszystko. Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą.

Kazanie

o Sakramencie Małżeństwa, jego zacności, o powinnościach i grzechach małżonków.

(Dokończenie.)

Co za skutki sprawuje Sakrament Małżeństwa?

1. Pomnaża łaskę poświęcającą.

2. Daje osobną, udoskonalającą najprzód miłość małżonków; bo miłość wrodzoną przemienia w czystą, świętą i stateczną, podobną do miłości Chrystusa ku Kościołowi. Jako Chrystus miłuje Kościół swój nie dla tego, aby miał zysk jaki ziemski, ale żeby dusze zbawił; tak małżonkowie nawzajem powinni się budować słowem, dobrem życiem zachęcać się do dobrego, jedno drugiemu pomagać do uświątobliwienia.

Ta miłość sprawia, że jedno drugiego przywary, wady i uchybienia, jako też choroby i przypadki nieszczęśliwe na zdrowiu i powodzeniu cierpliwie i ochoczo dla Boga znosi; utrzymuje ich serca w czułem zjednoczeniu, w zgodzie po długie lata. Ona nakazuje mężowi obchodzić się z żoną nie jak ze sługą lub niewolnicą, lecz łagodnie, uczciwie, przyzwoicie; pracować na jej utrzymanie, bronić ją, upomnieć ją, gdy błądzi, a nawet skarcić w miłości. Ta miłoś ćnakazuje żonie posłuszeństwo i uległość mężowi w rzeczach słusznych, skromność, aby unikała próżnych strojów, ani nie chciała się nikomu przypodobać jeno mężowi zaletami swej duszy: aby unikała wszystkiego, coby zazdrość męża obudzić i i spokój domowy zakłócić mogło; ale owszem uprzyjemniać mężowi życie swą życzliwością, przyjaźnią, uprzejmością.

Druga jest łaska Boża w małżeństwie; dochowanie wiary jedno drugiemu, które według Pawła św. na tem zależy, aby za wspólną umową mieli czasy swoje do modlitwy, do Komunii., do postów i ofiary Mszy św., powściągliwość zachowali, jako i w czasie choroby jednego z nich, albo gdy potrzeba wymaga, że się na czas dłuższy jedno z nich oddalić musi, np. dla poratowania zdrowia.

Trzecia jest łaska niebieska w małżeństwie: dobre wychowanie dziatek w świętej wierze katolickiej i w pobożności. Wychować dzieci w posłuszeństwie i niektórych cnotach służy i poganom, ale wychowywać je w wierze świętej, cnotach i karności chrześcijańskiej, to jest właściwy skutek Sakramentu; to dar jest Boży. Ta to łaska uczy małżonków chrześcijańskich uważać swe dzieci jako od Boga powierzone, za które będzie żądał rachunku; nakazuje im unikać wobec dzieci wszystkiego, przez coby się mogły zgorszyć.

Czwarty nareszcie skutek Sakramentu Małżeństwa jest jego nierozjemność, nierozrywalność. Związek małżeński między katolikami jedna tylko śmierć zerwać może. Nie może opuścić mąż żony, ani żona męża, ani dla choroby, ani kalectwa, ani niepłodności, ani złości; prócz jednego niedotrzymania wiary małżeńskiej, a i wtedy nie samowolnie, ale dopiero za wyrokiem sądu małżeńskiego nastąpić może rozłąka, w czasie której jednak żadnej stronie, jak długo żyje druga, nowych związków małżeńskich zawierać nie wolno. Czasowa rozłąka może też nastąpić z innych ważnych przyczyn. Kto bez upoważnienia władzy duchownej samowładnie opuszcza męża lub żonę, nie może być rozgrzeszonym, aż nie powróci do wspólnego pożycia. Zadna moc ludzka nie może rozwiązać ważnie zawartego małżeństwa katolickiego; przez to samo, że jest Sakramentem, Kościół rozwodów cierpieć nie może. Wyjąwszy ten jeden wypadek, jeśli po zawartym ślubie nie robiono użytku z powinności małżeńskiej, za zezwoleniem drugiej strony jedna wstąpi do klasztor i śluby uroczyste złoży; druga

może na nowo żenić się lub za mąż się wydać. Przymiot ten, płynący z Sakramentu, jest wielkiem dobrodziejstwem tak dla czci rodziny, kobiety, jak dla życia i wychowania dziatek: dla publicznych i domowych obyczajów, dla dobra całego społeczeństwa. W cóżby się zamieniły rodziny, wsie, miasta, kraje i państwa, jeśliby dozwolone były rozwody? Wszystkie podstawy porządku zachwiałyby się. Aby zaś dozgonne jarzmo małżeńskie nie stało się uciążliwem, przeto Zbawiciel przygotował dla małżonków w Sakramencie Małżeństwa potrzebne łaski do cierpliwego dźwigania tegoż.

Co jest Sakrament Małżeństwa? — Małżeństwo jest Sakramentem, przez który dwie wolne chrześcijańskie osoby, mężczyzna i niewiasta, porządnym sposobem t. j. według praw Bożych, kościelnych i ludzkich łączą się nierozdzielnie i od Boga łaski odbierają do zgodnego ze sobą pożycia aż do śmierci i wychowania dzieci po chrześcijańsku.

Zkąd to pochodzi, że nie wszyscy w małżeństwo wstępujący doznają powyżej wymienionych skutków? — Pochodzi to ztąd, że wielu wstępując w stan małżeński bez należytego przygotowania albo nawet w grzechu śmiertelnym biorą ten Sakrament, albo też nieprzyzwoitem używaniem małżeństwa Boga obrażają. Jest to wielkie świętokradztwo brać ślub w grzechu śmiertelnym; Bóg bowiem za to nietylko karze małżonków, ale i dzieci. Nie ma zgody i błogosławieństwa w wielu małżeństwach, bo się wielu przed ślubem sprośnymi kala grzechami, inni wstępują w ten stan jedynie dla dogodzenia chuci cielesnej, znowu inni dla posagu lub związania się z domami wielkimi; to nie jest właściwym celem małżeństwa. O nadużyciach w stanie małżeńskim nie jest pora mówić, raz, że się często powtarzają, powtóre, że nadwerężają zgodę i jedność małżeństwa, a zgorszeniem są dla dziatwy. I tak grzeszą mężowie, którzy żonom swoim dobrego nie dadzą słowa, ale je lżą, miotając im ciągle przed oczy, że im posagu nie przyniosły, którzy żony przeklinają albo co gorsza policzkują i biją. „Mąż takowy (mówi święty Chryzostom) nie godzien być nazwany mężem, ale bestyą". Toż i żony grzeszą, co z jakiejś niepohamowanej złości mężom złego życzą, co ku innym serce nachyliwszy, radeby, żeby mąż zginął. O! jakąż karę na siebie i dom swój sprowadzają takie żony! Grzeszą nieludzcy skąpcy-mężowie, co swe żony nędznie karmią i przyodziewają, albo sami sobie dogadzają, a żony ich łzami się karmią. Grzeszą żony, które chcą rządzić mężem i gospodarstwem, nie chcą słuchać mężów dla uporu i złości, przykro im odpowiadają, do złości przywodzą. Grzeszą i te, które dla złości lub innej niesłusznej przyczyny powinności małżeńskiej nie wypełniają. Grzeszą dalej małżonkowie, którzy ze sobą nie mieszkają; a chociażby wiedziały o upadku męża, lub mąż żony, a widzą oczywistą ich skruchę, raczej im przebaczyć należy dla miłości Chrystusa, niżeli sądowne rozpoczynać kroki. Grzeszą, jeśli się nawzajem bez podstawy posądzają, plotek słuchają i t. p. Porzućcie więc, bracia mili! te wszystkie grzechy, a ujrzycie, jak zakwitnie na nowo spokój, szczęście i błogosławieństwo w pożyciu waszem; mężowie niech sobie za wzór obiorą św. Józefa; żony zaś naśladują przykład św. Moniki, matki św. Augustyna, która bardzo zgodzie i spokojnie z mężem swoim żyła, chociaż był gniewliwym i złym, a do tego bałwochwalcą, tak dalece, że sąsiadki pytały ją, jakichby sztuk i sposobów używała do uśmierzenia popędliwości swego męża, na co św. Monika odpowiadała: „Wiedzcie o tem, że to nie tak gniew mężów waszych kłopoty i hałasy sprawuje, jako raczej wasza nieroztropność i niecierpliwość. Albowiem często bywa, że swoją przykrą mową i niełagodną odpowiedzią zajątrzacie ich i gniewacie, oleju do ognia przydając. Co do mnie, gdy obaczę męża mego w największym gniewie, nic mu nie mówię, czemby się mógł obrazić, cierpię i udaję, że wielu rzeczy nie słyszę, i wtenczas w modlitwie

proszę Boga za nim i tak jego gniew łagodzę, i ztąd pochodzi, że zawsze w zgodzie żyjemy, a tem go nawet już pozyskuję, bo poczyna służyć Chrystusowi Panu, i z tem daje się słyszeć, że chce chrześcijaninem zostać. Jeżeli tedy tak z mężami poczynać będziecie, nie wątpię, że łatwo ustrzeżecie się wszelkich zwad i kłótni, i łaskawych na siebie mężów mieć będziecie".

Amen.

Obrona Częstochowy.

(Ciąg dalszy.)

Gdy rankiem oficerowie przychodzący z raportami, donieśli Müllerowi, że skutek nocnej strzelaniny jest żaden, że owszem im samym przyniósł znaczne szkody w ludziach, jenerał zaciął się i kazał dalej ogień prowadzić.

— Przecie się wreszcie znużą! — rzekł do księcia Heskiego.

— W prochach ubytek niezmierny — odrzekł ów oficer.

— Przecie i oni strzelają, i im go ubywa? — rzekł Müller.

— Oni tam muszą mieć nieprzebrane zapasy. — W nocy podjeżdżałem pod mury, i mimo huku słyszałem wyraźnie młyn; nie może to być inny młyn, jak prochowy.

— Każę do zachodu słońca strzelać tak mocno, jak wczoraj. Na noc odpoczniemy. Zobaczymy czyli poselstwa nie wyszlą.

— Wasza dostojność wiesz, że wysłali do feldmarszałka Wittenberga? — spytał książę Heski.

— Wiem, wyślę i ja, bo największe armaty. Jeśli ich nie można będzie nastraszyć, albo pożaru wzniecić od środka, trzeba będzie wyłom uczynić.

A książę Heski pytał znowu:

— To spodziewasz się wasza dostojność, że feldmarszałek pochwali oblężenie?

— Feldmarszałek wiedział o moim zamiarze i nic nie mówił — odrzekł szorstko Müller. — Ale jeśli mi się to nie uda, wtedy feldmarszałek zgani, nie pochwali i przed królem jegomością na mnie całą winę złoży.

— O tem nie wątpię, że na waszą dostojność winę złoży, szczególnie, kiedy się pokaże, że Sadowski miał słuszność.

— Co za słuszność? co on powiada? pytał Müller.

— On powiada, że po tych tutaj wystrzałach, rozpocznie się wojna od Bałtyku, aż pod Karpaty, że się cały naród polski rzuci znów do broni.

— To niechże król jegomość każe w takim razie skórę z Wrzeszczowicza ściągnąć i jako wotum do tego klasztoru ją pośle, bo to on namawiał na to oblężenie.

Tu Müller porwał się za głowę.

— Ale trzeba kończyć na gwałt! tak mi się coś zdaje, że oni wyślą kogoś dla układów. Tymczasem ognia! ognia!

Przeszedł więc dzień do wczorajszego podobny, pełen grzmotów, dymu i płomienia.

Wiele jeszcze takich miało przejść ponad Jasną Górą. Lecz tam gasili pożary i strzelali z niemniejszem męztwem. Połowa żołnierzy szła na spoczynek, druga połowa była na murach przy działach.

Ludzie poczęli oswajać się z ustawicznym hukiem, zwłaszcza, gdy przekonali się, że szkód wielkich nie było. Mniej doświadczonych krzepiła wiara, ale byli pomiędzy nimi i starzy żołnierze, obeznani z wojną, którzy służbę pełnili jak rzemiosło. Ci dodawali otuchy wieśniakom.

Wachmistrz Soroka wielką uzyskał wśród nich powagę, bo wiele życia strawiwszy na wojnie, tak był obojętny na jej hałasy, jak stary szynkarz na krzyki pijących. Wieczorem, gdy strzały ucichły, opowiadał towarzyszom o oblężeniu Zbaraża. Sam w niem nie był, ale wiedział o niem dokładnie od żołnierzy, którzy je przetrwali, i tak mówił:

— Tam zwaliło się kozactwa, tatarstwa, turków tyle, że samych kuchtów więcej było, niźli tu wszystkich Szwedow. A dla tego im się nasi nie dali. Prócz tego tu złe duchy nie mają mocy nijakiej, a tam jeno przez piątek, sobotę i niedzielę djabli nie wspomagali hultajstwa, a przez resztę dni po całych nocach straszyli. Posyłali

śmierć na okópy, żeby się pokazywała żołnierzom i serce im do bitwy odejmowała. Wiem od takiego, który ją sam widział.

— Widziałże ją? — pytali ciekawie chłopi, kupiąc się koło wachmistrza.

— Na własne oczy! Szedł od kopania studni, bo im tam wody brakło, a co było w stawach, to śmierdziała. Idzie, idzie, aż patrzy, naprzeciw niego podchodzi jakaś figura w czarnej płachcie.

— W czarnej, nie w białej?

— W czarnej; na wojnę w czarną się ona ubiera. Mroczyło się. Przybliża się żołnierz: „Werdo?“ — pyta — ona nic. Dopiero pociągnął za płachtę, patrzy: kościotrup. — „A ty tu czego?“ — „Ja, powiada, jestem śmierć i przyjdę po ciebie za tydzień.“ Żołnierz pomiarkował, że źle. — Czemuto — pyta — dopiero za tydzień? to ci prędzej nie wolno? A ona na to: — „Przed tygodniem nic ci uczynić nie mogę, bo taki rozkaz“. — Żołnierz myśli sobie: — Trudno! ale kiedy ona mi teraz nic zrobić nie może, to niechże jej choć za swoje odpłacę“. — Kiedy nie owinie ją w płachtę, kiedy nie zacznie o kamienie gnatami walić! Ona w krzyk i nuż się prosić: — „Przyjdę za dwa tygodnie!“ — „Nie może być!“ — „Przyjdę za trzy, za cztery, za dziesięć, po oblężeniu, za rok, za dwa, za piętnaście“. — Nie może być!“ — „Przyjdę za pięćdziesiąt lat.“ — Pomiarkował się żołnierz, bo już miał pięćdziesiąt, myśli sobie: „Sto — dość!..“ puścił ją. A sam zdrowy i żyw do tej pory: do bitwy chodzi, jak w taniec, bo co mu tam!

— A żeby się zaląkł, toby już było po nim?

— Najgorzej się śmierci bać! — odrzekł poważnie Soroka. — On, żołnierz, i innym dobra przysporzył, bo jak ci ją zbił, jak ci ją utrudził, tak ją na trzy dni zemdliło i przez ten czas nikt w obozie nie poległ, chociaż wycieczki czynili.

— A my, to nie wyjdziemy kiedy nocą na Szwedów? — spytał Marcin, który też słuchał opowiadania.

Nie nasza głowa — rzekł Soroka.

Marcin popatrzył na szańce szwedzkie i uderzył się w głowę. Noc już była. Na szańcach od godziny panowała cisza zupełna. Strudzony żołnierz spał widocznie przy działach.

Daleko, na dwa strzały z armat, połyskiwało kilkanaście ogni, ale przy samych szańcach grube panowały ciemności.

— Ani im to w głowie, ani podejrzywają, ani mogą przypuścić! — szepnął do siebie Marcin.

I udał się wprost do pana Czarnieckiego, który siedząc przy lawecie, liczył paciorki różańca i stukał jedną nogą o drugą, bo mu zmarzły.

— Chłodno — rzekł, ujrzawszy Marcina — i głowa cięży od tego huku przez dwa dni i jednę noc. W uszach mi ciągle dzwoni.

— Komuby w uszach nie dzwoniło od takich hałasów. Ale dziś będziemy mieli spoczynek. Pospali się tam na dobre. Możnaby ich zejść, jak niedźwiedzia w barłogu; nie wiem, czyby ich nawet rusznice przebudziły.

— O! — rzekł Czarniecki, podnosząc głowę — o czem myślisz?

— Myślę o Zbarażu, że tam oblężeni przez wycieczki niejedną srogą klęskę hultajstwu zadali.

— A tobie, jak wilkowi po nocy, krew na myśli?

— Na Boga żywego i Jego rany, panie komendancie, uczyńmy wycieczkę! Ludzi narzniemy, działa pozagwaźdżamy. Oni się tam niczego nie spodziewają.

Pan Czarniecki zerwał się na równe nogi i wykrzyknął:

— I jutro chyba poszaleją! Myślą może, że nas dość nastraszyli i że o poddaniu się myślimy, będą mieli odpowiedź. Jak Boga kocham, to jest przednia myśl, to prawdziwie rycerska myśl! Że też to mnie do głowy nie przyszło. Trzeba tylko księdza Kordeckiego zawiadomić!... On tu rządzi!

Poszli.

Ksiądz Kordecki naradzał się w definitoryum z panem miecznikiem Zamojskim. Posłyszawszy kroki, podniósł głowę i odsuwając na bok świecę spytał:

— A kto tam? jest co nowego?

— To ja, Czarniecki — rzekł pan Piotr — ze mną zaś jest Otręba. Obaj spać nie możemy, bo strasznie nam Szwedzi pachną. Ten Otręba, Ojcze, to niespokojna głowa i nie może na miejscu usiedzieć. Wierci mi się, wierci, bo mu się okrutnie chce do Szwedów za wały pójść, zapytać się ich, czyli jutro także będą strzelali, albo czy też czas nam i sobie jeszcze dadzą?

— Jakto? — spytał, nie ukrywając zdziwienia, ksiądz Kordecki — Otręba chce wyjść z fortecy?

— W kompanii, w kompanii! — odrzekł śpiesznie pan Piotr — ze mną i kilkudziesięciu ludźmi. Oni tam, zdaje się, śpią na szańcu, jak zabici; ogni nie widać, straży nie widać. Zbyt w naszą słabość dufają!

— Działa zagwoździmy — dodał gorąco Marcin.

— A dawajcie mi tu tego Otrębę! — zakrzyknął pan miecznik — niech go uściskam! Swędzi cię żądło, szerszeniu, radbyś i po nocy kłuł. Wielkie to jest przedsięwzięcie, które najlepszy skutek mieć może. Dzielnego to nam Pan Bóg dał żołnierza, ale wściekłą bestyę i zębatą. Ja zamiar pochwalam, nikt go tu nie zgani, i sam gotowym iść!

Ksiądz Kordecki zrazu się przeraził, bo kiedy własnego życia nie wystawiał, to lękał się krwi rozlewu dla innych, ale zastanowiwszy się bliżej nad ową myślą, uznał ją za godną obrońców Maryi.

— Dajcie mi się pomodlić! — rzekł.

I ukląknąwszy przed wizerunkiem Matki Boskiej, chwilę modlił się z założonemi rękoma, wreszcie wstał wypogodzony i rzekł:

— Pomódlcie się teraz wy, a potem idźcie.

W kwadrans też wyszli i udali się na mury. Na szańcach w dalekości spano. Noc była bardzo ciemna, pan Czarniecki rzekł:

— Chciałbym, żeby mój Soroka poszedł także, bo to rzeźnik okrutny.

Zabrano się zaraz raźno do dzieła, wybrano ludzi. Poszedł też między innymi pewien młody pan z Litwy, który tu przyjechał za grzechy dawne się spowiadać, a teraz służył Najświętszej Pannie, przez pokorę zaś nazwiska nie wyjawił, nazywano go tylko panem Andrzejem. Wojak to był wyborny i wielce odważny.

Nakazano ciszę największą i poczęto wyrywać belki.

Praca zabrała z godzinę czasu. Wreszcie otwór w murze był gotowy, i ludzie poczęli się wsuwać w wązką czeluść. Mieli szable, pistolety, niektórzy rusznice, a niektórzy, zwłaszcza chłopi, kosy osadzone sztorcem, broń, do której najwięcej przywykli. Marcin, choć inną bronią władał doskonale, wziął także kosę i oddział chłopów prowadził. Znalazłszy się na drugiej stronie muru, policzyli się; pan Czarniecki stanął na przedzie oddziału, Marcin ze swoimi na końcu, i ruszyli wzdłuż okopu, cicho, dech tamując w piersiach, jak wilcy, podkradający się do owczarni.

Jednakże czasem kosa o kosę zabrzękła, czasem kamień pod stopą zazgrzytał i po tych odgłosach można było poznać, że wciąż posuwają się dalej. Zeszedłszy w nizinę, pan Czarniecki zatrzymał się. Tu zostawił część ludzi, nieopodal już od szańców, pod wodzą Janicza węgrzyna, starego i wytrawnego żołnierza, którym na ziemię rzucić się kazał, sam zaś wziął się nieco w prawo i mając pod stopami miękką już ziemię, na której kroki nie wydawały echa, począł szybciej prowadzić swój oddział.

Miał on zamiar obejść szaniec, uderzyć na uśpionych z tyłu i pędzić ku klasztorowi na ludzi Janicza. Tak on szeptał do idącego obok pana Andrzeja.

— Szaniec pewnie jest tak wysunięty, że między nim a głównym obozem leży pusta przestrzeń. Straże, jeśli jakie są, to przed szańcem, a nie z tamtej strony. Tak więc obejdziemy ich swobodnie i wpadnie-

my od tamtej strony, od której najmniej spodziewają się napadu.

— Noga nie powinna ujść z tych ludzi — odpowiedział pan Andrzej. — Ale pozwól waszmość, że ja odpowiem, jeśliby kto się odezwał, jak będziemy wchodzili. Po niemiecku umiem szwargotać, jak po polsku, więc pomyślą, że kto od jenerała z obozu przychodzi.

— Czas już skręcać, już koniec okopu widać — rzekł pan Czarniecki.

Tu zwrócił się i zawołał z cicha:

— W prawo! w prawo!

Milczący szereg począł zwracać. Wtem księżyc oświecił nieco brzeg chmury i uczyniło się jaśniej. Idący ujrzeli pustą przestrzeń z tyłu szańca.

Straży, jak przewidywał pan Czarniecki nie było na tej przestrzeni wcale, bo i pocóżby Szwedzi mieli stawiać placówki między własnemi szańcami, a główną armią, która stała dalej. Najprzenikliwszy wódz nie mógł przypuścić, aby z tej strony mogło nadejść jakie niebezpieczeństwo.

— Teraz jak najciszej — rzekł pan Czarniecki — widać już namioty.

— I w dwóch jest światełko. Ludzie tam pewnie czuwają... pewnie starszyzna...

— Wejście od tyłu musi być wygodne.

— Oczywiście tędy armaty wtaczają i wojska wchodzą... Ot, już nasyp się poczyna. Pilnuj teraz, by broń nie zabrzękła...

Doszli już do wzniesienia, usypanego starannie z tyłu szańców. Stał tam cały szereg wozów, na których podwożono prochy i kule. Ale przy wozach nie było nikogo, więc minąwszy je, poczęli wspinać się na szaniec.

Tak doszli do samych namiotów i z gotową bronią, zatrzymali się tuż, tuż. W dwóch rzeczywiście błyszczały światełka; więc pan Andrzej, zamieniwszy parę słów z Czarnieckim, rzekł w końcu:

— Pójdę ja najprzód do tych, którzy nie śpią... Czekać teraz mego wystrzału, a potem w nich!

To rzekłszy, ruszył.

Nie starał się nawet iść zbyt cicho. Minął kilka namiotów pogrążonych w ciemności; nikt się nie obudził, nikt nie spytał: „werda?“

Żołnierze jasnogórscy stali tak cicho, że słyszeli skrzyp jego śmiałych kroków i bicie własnych serc. On zaś dotarł do oświetlonego namiotu, podniósł skrzydło i wszedłszy, zatrzymał się u wejścia z pistoletem w dłoni i z szablą spuszczoną na łańcuszku. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Śmierć niewinnego i śmierć zabójcy.

W zimie 1867 roku kilka żołnierzy Moskali schizmatyków, spotkało małego pastuszka katolika, który zbierał drzewo w lesie. Otoczyli go dokoła i pytali, jakiej jest religii?

— Jestem katolikiem — odpowiedział śmiało chłopiec i bez wahania. Żołnierze prawosławni żądali, aby się przeżegnał na ich sposób, to jest dotknąwszy ręką czoła i piersi, przyłożył ją najprzód do prawego ramienia, a potem do lewego, podczas gdy w łacińskim obrządku dotyka się ręka pierwej lewego, a potem prawego ramienia. Ta różnica w formie robienia znaku krzyża św., jest jedną z zewnętrznych oznak, odróżniających obrządek grecki od łacińskiego; Moskale zaś, choć odszczepieńcy od prawdziwego Kościoła katolickiego, trzymają się w ogóle greckiego obrządku, tego który przed odstępstwem mieli, z niektóremi zmianami. Mały pastuszek wzbraniał się stanowczo zadosyć uczynić ich żądaniu i żegnał się wciąż według formy łacińskiej. Rozdrażniony tym niespodziewanym uporem chłopca, groził mu dowódca oddziału, że go w razie uporu każe rozstrzelać. Straszna ta pogróżka nie zrobiła pożądanego wrażenia na dziecku.

Przywiązano więc biednego chłopczynę do drzewa, a żołnierze ustawili się w szeregu, aby go rozstrzelać. Blady, ale pełen nadnaturalnego męztwa, spoglądał młody męczennik za wiarę z niezachwianym spokojem na swych dręczycieli i modlił się po cichu. Tedy oficer rozkazał żołnierzom

spuścić karabiny, zbliżył się do chłopca i odezwał się szydersko:

— Psie podły! nie jesteś godnym prochu i kul, które moi żołnierze mieli właśnie na ciebie zmarnować.

Potem kazał odwiązać chłopca i powiedział:

— „Każę cię powiesić, jeżeli się nie przestaniesz buntować przeciw cesarzowi i prawosławnemu kościołowi.

Dzikie żołdactwo schizmatyckie, powlokło tedy chłopca do wielkiego dębu: zarzucono mu na szyję stryczek i żądano po kilka razy, aby się tak jak oni chcą przeżegnał. Młodziuchny męczennik nie odpowiedział nic na to, lecz tylko potrząsał wciąż głową na znak, że ich nie usłucha. Teraz wchodzi jeden z żołdaków na drzewo, przytwierdza stryczek do gałęzi, podczas gdy dwaj inni podnoszą chłopca i czekają tylko na znak, aby go powiesić. Ale oficer rozmyślił się na nowo i zawołał:

— Szkoda tego powrozu dla tego nicponia, utopmy go lepiej!

Znów więc powleczono biedaka do pobliskiego stawu, który zamarzał kilka dni temu. Oficer, który w przedłużaniu męczarni dziecka znajdował rozkosz piekielną, rozkazał go rozebrać i zanurzyć aż po szyję w wodzie. (Jeden z żołnierzy wyrąbał poprzednio otwór w lodzie).

Gdy rozkaz ten spełniono, zbliżył się oficer do chłopca, któremu głowa ponad lód wystawała, i uśmiechając się szatańsko, zawołał:

— I cóż uparty hultaju, czy i teraz nie przeżegnasz się, jak to nasz car nakazuje? Lecz chłopiec nic nie odpowiedział; wzniósł tylko oczy ku niebu i dobywając ostatnich sił, chciał zrobił znak krzyża świętego według formy łacińskiej. Oficer chciał właśnie zakląć straszliwie, gdy wtem lód pod jego nogami zatrzeszczał załamał się i morderca utonął pod lodem i zginął nędznie w głębiach stawu a młodziuchny męczennik poszedł do nieba po palmę zwycięztwa.

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

W kasie (zob. nr. 45)	22,71 m.
Na chrzcinach u p. Jakóba Maika w Baukau: J. Maik 1 m., W. Laboch 1 m., S. Marciniak 2 m., M. Kaźmierczak 1 m., T. Bruss 1 m., J. Kordus 50 fen., A. Maćkowiak 1 m. (nadesłał i 25 fen. porto zapłacił p. Sylwester Maćkowiak)	7,50 „
Na chrzcinach u p. Franciszka Kozłowicza w Herne: Fr. Kozłowicz z żoną 1 mr., pani Tomczak 60 fen., St. Chodyński 3 m., Fr. Szulc z żoną 1 m., Ign. Til z żoną 1 m., Fr. Kwaśniewski 1 m., A. Nowak 1 m., J. Chudziński 1 m., pani Masztelerz 50 fen., W. K. 1 m. (nadesłał i 35 fen. porto zapłacił pan Walenty Kwaśniewski)	11,10 „
Na chrzcinach u pana Walentego Piecucha w Wanne: St. Michalak 50 f., M. Buliński 50 fen., J. Przybyłek 50 f., Fr. Mielcarek z żoną 1,50 m., L. Walkowiak z żoną 1 m., Ł. Pawłowski 50 f., W. Piecuch 50 f., J. Piecuch z żoną 1 m., Ign. Jankowski 1 m., (nadesłał p. Stanisław Michalak)	7,00 „
Na weselu u p. Józefa Różeńskiego w Ueckendorf (wręczył pan Jan Kamieński) . . .	6,75 „
Na chrzcinach u p. Franciszka Baranowskiego w Wiemelhausen: Fr. Baranowski z żoną 1 m., J. Baranowski z żoną 1 m., M. Baranowski 50 f., A. Baranowski 1 m., J. Baranowski z żoną 50 fen., M. Wujek 1 mr., J. Łagótka 50 f., A. Błaszczyk 1 m., H. Meredich 20 f., A. Grochowy 50 f., F. Łapka z żoną 50 f., J. Radoła z żoną 60 f., Stanisław, syn Radoły 10 f. (wręczył p. Jan Łagótka)	8,40 „
Na zebraniu Towarz. św. Michała w Bruchu (wręczył p. Wojciech Chwiłkowski) . . .	14,50 „
Na weselu u p. Michała Szufli w Wetter: M. Szufla z żoną 2 m., A. Wojtczak z żoną 1 mr., Ign. Wojtczak 1 mr., W. Wildaczyk z żoną 1 mr., W. Cierniak z żoną 1 mr., A. Taracki 3 m., (nadesłał i porto zapłacił pan Antoni Taracki)	9,00 „
Na chrzcinach u p. Aleksandra Mazurowskiego w Rauxel: Mazurowski z żoną 3 m., J. Stiep z żoną 2 m., Fr. Baranowski z żoną 2 mr., J. Erwart z żoną 1 m., A. Wysocki 1 m. Fr. Wysocki 1 mr., M. Zakrzewski 2 mr., T. Erwart 50 fen. (nadesłał p. Antoni Wysocki — porto 35 fen.)	12,45 „
Razem	99,41 m

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

18. 11. 1898 pro: Ks. Liss.

Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a.

Kalendarz tygodniowy.

Listopad.

20. **Niedziela.** Feliksa W.
21. **Poniedziałek.** Ofiarowanie NMP.
22. **Wtorek.** Cecylii P.
23. **Sroda.** Klemensa P.
24. **Czwartek.** Chryzogona
25. **Piątek.** Katarzyny M.
26. **Sobota.** Konrada Ap.

Redaktor odpowiedzialny: ks. Franciszek Liss w Rumianie. — Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Wiarusa Polskiego“.